

Maciej Dydo "Fidomax"

Płomień

Z „Fahrenheit”

Wieżowce bez okien, ulice zatarasowane wrakami samochodów, w wielu miejscach jeszcze świeże trupy, a nad tym wszystkim bezchmurne niebo. Słońce mocno prażyło i po czole nadjeżdżającego motocyklisty spływał obficie pot. Z okien budynków ludzie bojaźliwie wychylali się, aby ujrzeć przybysza, ten jednak nie rozglądał się, mknąc przez centrum zrujnowanego miasta. Jak wszędzie byli tu i bandyci współpracujący z wojskiem, nawiedzeni kaznodzieje głoszący wieść o apokalipsie, zastraszeni ludzie modlący się, aby przeżyć jeszcze jeden dzień, podsumowując typowe miasto na wschodzie. Dan zatrzymał się przed barem, który był umiejscowiony w dość dobrze zachowanym budynku. Nad wejściem można było dostrzec niewielki lekko zniszczony neon "U Kleidena". Stanął pewnym krokiem przed drzwiami tej speluny i otworzył metalowe drzwi. W środku panował półmrok, mężczyźni siedząc przy stolikach przyglądali się z niechęcią przybyszowi. Ten powoli, ale pewnie podszedł do baru i kładąc plecak na ladzie, usiadł na stołku.

- Jaki macie alkohol? - zwrócił się do barmana.

- To co widać. - odburknął, chowając akurat pieniądze do kasy.

- W takim razie... podwójne to co widać. - Dan uśmiechnął się.

Barman szybko podał drinka klientowi. Ten podniósł kieliszek i przyjrzał się zawartości, by po chwili wypić ją jednym haustem.

- Nawet nie chcę pytać co to było.

- To nie pytaj. - barman wrzucił ramionami.

- Pracy szukam.

- Jakiej? - barman ożywił się.

Dan odchylił wieczko plecaka i oczom barmana ukazał się strzelba.

- Takiej pracy staruszku, znajdę tu taką pracę?

- Wyjdźmy na zaplecze. - barman wskazał Danowi drzwi za barkiem.

Kiedy przechodzili do pokoju barman zawołał swojego syna, żeby ten obsługiwał klientów. Rozsiedli się w niewielkiej komórce.

- Znajdziesz tu taką pracę. - stwierdził barman.

- Kto i gdzie? - zapytał rzeczowo Dan widocznie zażenowany tą śmieszną konspiracją.

- Nie pytasz za ile?

- Jak mi powiesz kto i gdzie, to ja ci powiem za ile.

- To niewielkie miasteczko. Trzy miesiące temu, kiedy wojsko opuszczało nasze tereny zostawiło oddział pięciu żołnierzy, którzy mieli tu pilnować porządku. No i właśnie problem jest z tymi żołnierzami.

Terroryzują to miasteczko, wymuszają haracze, dopuszczają się gwałtów....muszę mówić dalej?

- Nie. Teraz powiedz kiedy.

- To już chyba zależy od ciebie. Przyjdą tu za godzinę ściągnąć ode mnie haracz.

- Cała piątka?

- Niestety cała.

- To nawet lepiej, załatwi się ich hurtowo.

Barman zerwał się na równe nogi.

- Ty sobie chyba nie zdajesz sprawy, z kim masz do czynienia. To świry, zdegenerowane, wyszkolone świry.

- Zdaję sobie sprawę, dlatego chcę za ich wykończenie 1000 jednostek.

- 1000 jednostek? Chyba ci odbiło. Nie mam tyle.

- Przecież nie tylko tobie dokuczają, nie? Złóżcie się na to. Dobiliśmy targu?

- Tak... - barman podał rękę najemnikowi.. - Pójdę zebrać pieniądze, poczekaj na mnie w barze.

- Nie ma sprawy dziadku. - Dan zeskoczył z pudła, na którym siedział i wyszedł na sale, nie oglądając

się za siebie.

Gwar pijackich rozmów przerwało nagłe uderzenie w drzwi wejściowe. Pięciu mężczyzn wtargnęło do środka, na ich widok wszyscy klienci baru "U Kleidena" wybiegli w pośpiechu. Mężczyźni byli ubrani w wojskowe mundury, ale widać było, że za bardzo ich nie szanują. Przywódca bandy Hallon poszedł do baru, za którym stał roztrzęsiony barman. Jego towarzysze podążali dwa kroki za nim. Hallon uśmiechnął się do barmana.

- Jak tam Roberts? Widzę, że interes kwitnie.

- Tak panie Hallon, nie narzekam.- wydukał barman.

- Podaj moim ludziom najlepszy browar, jaki masz. - Hallon za każdym razem, kiedy ściągał haracz wymawiał tą kwestię, co niesamowicie irytowało barmana.

Ten obsłużył towarzyszy Hallona, którzy już rozsiadli się na stołkach przy barze.

- Tak Roberts, nieźle cię wytresowaliśmy. - stwierdził Hallon.

Barman podał mu piwo, po czym w milczeniu otworzył sejf i wyciągnął z niego zwitek banknotów.

- 100 jednostek, proszę. - wręczył hersztowi pieniądze.

- Miałem podnieść cenę, ale jesteś dla nas taki miły dzisiaj, że jeszcze ten miesiąc policzę po starej cenie. - uśmiechnął się Hallon.

- Szefie. - jeden z towarzyszy o przywisku Trad, przerwał rozmowę. - Idę do kibla, zew natury.

- Jezu, tylko nie wołaj nas żeby ci pupkę podetrzeć. - zażartował Hallon i trzech pozostali towarzysze wybuchli śmiechem.

Trad nic więcej nie odpowiedział, tylko skierował się do kibla, do którego drzwi znajdowały się na końcu sali.

- Więc wracając do interesów...- Hallon zaczął przeliczać pieniądze.-...mam nadzieję, że doceniasz to, że nie podniosłem stawki i...- nagle przerwał mu okropny krzyk dobiegający z ubikacji.- Kurwa, a ten co? Przyciął sobie kutasa? - zapytał sam siebie i dał znak towarzyszom, że coś się szykuje.

Cała czwórka zeskoczyła ze stołków przy barze i wyciągnęła pistolety. Hallon dał znak dwóm ze swoich podwładnych, żeby zbadali sprawę, ci zaczęli powoli zbliżać się do ubikacji. Hallon natomiast cofnął się nieznacznie na jednej linii z ostatnim kompanem. Napakowanym osiłkiem, który oprócz pistoletu wyciągnął także pałkę. Barman uśmiechnął się nieznacznie obserwując zdenerwowanie na twarzach tej bandy zdegenerowanych psycholi. Dwoje z tych nich dotarło w tym czasie pod drzwi wyjściowe od kibla, które były otwarte na oścież. Nerwowo popatrzyli po sobie.

- Ty pierwszy. - rzekł jeden do drugiego.

- A czemu ja mam być pierwszy? - oburzył się kompan.

Nagle z drzwi wyskoczyła na nich postać, która w momencie kiedy zorientowali się, że coś na nich leci, zdawała im się niby jakiś upiór. Przestraszeni zaczęli strzelać do lecącego na nich tajemniczego napastnika. Sekundę trwało za nim zdali sobie sprawę, że ten upiór to ich martwy kompan. Jeden z nich kopnął ciało wprawiając je w rotację. I wtedy Dan zaatakował. Ciało, które tak przestraszyło napastników, było tylko zasłoną. Teraz ich zaskoczył i zamierzał wykorzystać to zaskoczenie. Hallon razem z osiłkiem nie strzelał - bał się trafić, któregoś ze swoich ludzi. Dan trzymając w rękach olbrzymi miecz, jednym cięciem pozbawił głów dwóch zdeorientowanych bandytów i wybijając się ze stolika skoczył za bar. Upadł zrzucając jednocześnie plecak, zamierzając wyciągnąć z niego strzelbę. Jednak zaraz po upadku poczuł silne uderzenie w kark. Uderzenie tak silne, że stracił całkowicie orientację i dał się wyciągnąć olbrzymim łapskom napastnika. Osilek podniósł energicznie Dana, i rzucił go o ścianę. Najemnik leżał na ziemi zwijając się w bólu, cały jego arsenał, został zza barkiem i teraz był całkowicie bezbronny. Jednak napastnicy nie dali mu czekać. Osilek złapał go za szyję i podniósł, tak że Dan nie dotykał nogami ziemi i był jednocześnie duszony. Hallon sprawdził, czy pozostała trójka jego kompanów nie żyje, po czym wściekły skierował się ku męczonemu Danowi, dając znak osiłkowi, żeby rozluźnił chwyt.

- Jestem pod wrażeniem. Trzech ludzi z mojego oddziału...- kręcił głową pełen podziwu, jednocześnie nie kryjąc narastającej wściekłości. - widać, że zawodowiec... Pewnie jako zawodowiec, wiesz też co zamierzamy z tobą zrobić? Zawlecemy cię do naszej mety i będziemy długo męczyć, a potem zabijemy, jak psa. - Hallon poklepał Dana po policzku.

- Fascynujące. - odparł z trudem Dan, wciąż nie mogąc dotknąć ziemi.

Hallon uderzył Dana mocno w żołądek, tak że ten nie mógł złapać tchu.

- Poduś go jeszcze trochę. - zwrócił się do osiłka i ten znów wzmocnił chwyt.

Nagle do uszu całej trójki dobiegł krzyk prawie, że dzikiego zwierzęcia.

- Nie ruszać się! - Hallon był pewny, że to głos barmana. - Puście najemnika! Już!

Pomyślał co zrobi temu gnojowi, który ośmielił się zorganizować zamach na jego bandę i odwrócił się w stronę barku z uśmiechem na ustach. Jednak, gdy ujrzał barmana, mina mu zrzedła. Ten stał za barkiem, trzymając w rękach strzelbę, którą pozostawił Dan.

- Roberts ty kurwa nie wiesz co robisz! - krzyknął rozdrażniony. - Nawet nie wiesz, jak się strzela z tej armaty! - próbował zapanować nad sytuacją.

Barman w odpowiedzi przeładował energicznie strzelbę.

- Już z tego strzelałem! - krzyknął.

Zmierzyli się wzrokiem, zapanowało milczenie. W końcu Hallon opuścił głowę i pstrykając palcami na goryla, kazał mu uwolnić Dana. Ten upadł z łoskotem na posadzkę, łapiąc się za gardło.

- Będziesz żałował... - wycedził Hallon w kierunku barmana, ale można było poznać po jego głosie, że się boi.

Dan powoli wstał i spojrzał na osiłka, który go dusił, uśmiechnął się do niego od ucha do ucha i powoli wycofał się za barek, by po chwili stanąć koło barmana. Odebrał mu strzelbę i od razu wypalił do osiłka. Trafił dokładnie w szyję. Ciało uderzyło w przeciwległą ścianę. Nie tylko ściana zresztą była czerwona od krwi, także Hallon, który wyglądał teraz jakby wylano mu na głowę trochę barszczu. Spanikowany poruszył się lekko. Dan podniósł wyżej strzelbę.

- Stój, kurwa! - krzyknął, a uśmiech znikł całkowicie z jego twarzy.

Hallon starał się opanować nerwy, ale cały dygotał zdając sobie sprawę, że ma całkowicie przechłapanę.

Dan przeskoczył przez barek i ciągle mierząc w kierunku Hallona, zaczął mówić.

- Znam cię złotko. Porucznik David Hallon, brałeś udział w oczyszczaniu wschodniej Undai, zgadza się?

Hallon milczał, ale widać było, że zaraz puszcza mu nerwy. Dan uderzył go strzelbą w kolana.

Mężczyzna upadł.

- Odzywaj się jak pytam. Jesteś Davidem Hallonem?

Ten powoli wstał i zaciskając zęby z bólu, wycedził:

- Tak.

Dan rozpromienił się i uderzył Hallona w twarz tak, że ten znów osunął się na podłogę, tym razem tracąc przytomność. Dan zakuł go w kajdanki i podszedł do barmana, który stał ciągle za barkiem.

- Kasa. - rzekł rzeczowo, zabierając plecak i miecz zza barku.

- Tak oczywiście. - Barman wyciągnął z sefju pieniądze i wręczył je Danowi. - A co zrobisz z tym gnojem? - zapytał nieśmiało wskazując na nieprzytomnego Hallona.

- Partyzanci dadzą mi za niego 1500 może 2000 jednostek.

- Aż tyle?

- Zaszalał trochę podczas czystek i teraz marzą, żeby zaszaleć na nim. - Dan zaśmiał się, dość ponuro.

Schował broń do plecaka i łapiąc za kurtkę nieprzytomnego Hallona skierował się ku wyjściu.

- Wiesz, słyszałem dużo o najemnikach, ale nie sądziłem, że jesteście takimi profesjonalistami. - Barman zaczeplił jeszcze Dana, gdy ten był przy samych drzwiach. - Pięciu wojskowych. - kręcił głową pełen podziwu.

Dan przeszył barmana niespodziewanym zimnym i okrutnym spojrzeniem.

- Nie jestem, kurwa, najemnikiem. - wyszedł trzaskając drzwiami.

Barman stał jeszcze chwile w milczeniu, gdy nagle zauważył, że jego syn wpadł do sali i przygląda się trupom.

- No synku, kubeł, miotła! - krzyknął barman.

Ten jednak nie mógł oderwać wzroku od ciał pozbawionych korpusu, od krwi i śmierci. Trudno powiedzieć czy był bardziej zafascynowany czy przerażony obrazem, który musiał analizować jego umysł. Prawdopodobnie jedno i drugie. Barman podszedł do chłopaka i uderzył go lekko w głowę.

- Posprzątać trzeba!

- Tak tato. - chłopak posłusznie wyszedł na zaplecze.

Miał taki stale powtarzający się sen. Stał jakby w centrum okręgu, można by powiedzieć w środku niczego. Gdyż niebo i ziemia były nicością, czarną pustką. Tylko postacie stojące dookoła niego były czymś. Wiele postaci, te które spotkał, te które zabił, stały w wielkim okręgu dookoła niego. Nic nie mówiąc, patrzyły się tylko na niego, nawet się nie poruszając. I zawsze pojawiała się nad nim tajemnicza kobieta, unosząca się nad nim niczym anioł i zaraz po jej pojawieniu się wszyscy ludzie stojący okręgu zaczęli płonąć, zmieniając się w żywe języki ognia. Te języki zbliżały się do niego i zawsze jakby zmuszony jakąś siłą spoglądał na kobietę lewitującą nad nim. Ona uśmiechała się tylko i znikła. Języki ognia zawsze go dopadały, wtedy się budził. Nie rozumiał tego i chyba w całym swoim dotychczasowym

życiu bał się tylko tego snu.

Obudził się złany potem. To był ten sen, po którym potrzebował chwili, żeby znów załapać kontakt z rzeczywistością. Leżał w niewielkiej ciemnej klitce, przykryty jakimś łachmanem. Przetarł ręką twarz i zapalił lampkę leżącą na niewielkim nocnym stoliku. Szare światło wypełniło pokój. Usiadł i chowając głowę w rękach starał się uspokoić. Dopiero po chwili doszły do niego okropne jęki, dochodzące z innego pomieszczenia. Wstał i ubrał się powoli. Wziął plecak, ruszył ku drzwiom wyjściowy. Gdy znalazł się w wąskim korytarzu, jęki zwielokrotniły się, a szczytowy poziom osiągnęły w pokoju, który służył partyzantom do tortur. Stary sposób... partyzanci zawsze męczyli tak znieawidzonych wrogów. Do dość rozległej ściany był przymocowany olbrzymi drewniany krzyż. Partyzanci umiejscawiali obiekt swych tortur na tym krzyżu, przebijając mu gwoźdźmi ręce i nogi. Potem już dowolnie: przypalanie, miażdżenie i różne takie... Zawsze jednak, klient umierał na krzyżu i zawsze trwało to kilka dni. Do Hallona partyzanci dopiero się zabierali, miał jeszcze dużo sił. Szarpał się i krzyczał, gdy dwudziestokilkuletnia kobieta obcinała mu palce u prawej ręki, by potem przypalić rany palnikiem. Po obu stronach sali siedzieli widzowie, wielu z nich Hallon zabił wcześniej najbliższych. Można ich było odróżnić na pierwszy rzut oka od reszty. Widać było na ich twarzach nie ukrywaną satysfakcję, z oglądanego widowiska. Dan stanął w drzwiach, opierając się o framugę. Hallon dostrzegł go i między jednym wyciem, a drugim krzyknął parę przekleństw pod adresem Dana. Słyszając to kobieta, która go obrabiała, odwróciła głowę i uśmiechnęła się do Dana. Ten odwzajemnił uśmiech i kiwnął palcem, dając do zrozumienia, że chciałby z nią porozmawiać na zewnątrz. Kiwnęła głową. Zdjęła foliowy kostium, podając go zmiennikowi.

- Dobrze spałeś? - zapytała zatroskana, kiedy przechodzili wąskim korytarzem.

- Normalka - weszli do stołówek i usiedli przy jednym ze stołów.

- Przyjeżdżasz tu raz na miesiąc, bo coś cię tu ciągnie Dan, to widać.

- Praca, tylko praca Trish.

- Może byś się do nas przyłączył. - zaproponowała, ale widząc krzywą minę, jaką jej zaserwował rozmówca, ciągnęła dalej. - Wiem, wiem, mówię ci to kolejny raz. Ale tak byłoby prościej.

- Słuchaj Trish, wiesz dobrze, że nie potrafię się podporządkować, czemuś takiemu jak rozkazom, wiesz także, że uczucie, które może dla mnie masz... jest absurdem, bo... ja nie potrafię kochać. Tłumaczyłem ci to już wiele razy, wiele razy także próbowałem uwierzyć, że mogę cię pokochać. Wiesz jak cię lubię. - złapał ja za rękę. - Ale nie potrafię... kochać.

- Bo sobie to wmawiasz, twardzielu. Ale ja się nie poddam i za miesiąc, kiedy znowu tu przyjdiesz powiem ci to samo.

Nagle Dan poczuł, jak ktoś kładzie mu na ramieniu rękę.

- Kopę lat byku. - tęgi czterdziestoletni mężczyzna przysiadł się do nich.

- Sid! - Dan ucieszył się. Po chwili jednak spochmurniał.

- Wołają cię młoda z sali tortur, ten praktykant sobie nie radzi. - powiedział Sid do dziewczyny.

Trish przeszła go zimnym spojrzeniem i wychodząc mrugnęła jeszcze do Dana.

- Nie poddam się Dan.

Posłał jej jeszcze przyjacielski uśmiech.

- Mam dla ciebie zadanie Dan. - Sid postawił sprawę jasno.

- Gdzie? Kto? - zapytał rzeczowo Dan.

- Dowódca Kirk Montes. Masz go zabić na oczach żony. Dzisiaj w nocy. Tu masz adres. - podsunął mu zmiętą kartkę papieru.

- Małe przedstawienie? - uśmiechnął się gorzko. - Mają dzieci?

- Półroczne dziecko.

- Wiec co z tym dzieckiem i kobietą?

- Mają tylko widzieć śmierć gnoja. Ich nie musisz zabijać.

- 5000 jednostek. - Dan podsumował całą sprawę.

- 5000? Przesadzasz.

- Przesadzam? To jest naprawdę szycha. Będę tam musiał wejść i czekać na niego. Ogromne ryzyko. Do tego ten ich dom... W pobliżu dwa posterunki. Zresztą ja nie proszę o to zlecenie. 5000, albo nie było sprawy.

- W porządku. To gówno jest zleczone przez partyzantów, oni będą płacić. Wyszli w teren i poprosili mnie żebym to ja zahaczył cię o to. Ach zapomniałbym... podobno to ty złapałeś Hallona?

- Zbieg okoliczności. - wzruszył ramionami.

- Jesteś, kurwa, jak jakiś książe. Wokół koszmar, a ty zawsze masz szczęście.

- Wystarczy, że miałem pecha rodząc się w tych czasach. - Dan zamyślił się.

- Ja stąd spadam stary. Pierdolę to, wyjeżdżam na zachód, ta kasa której dorobiłem się na przerzucie ludzi wystarczy mi na życie, ty zresztą też masz wystarczająco kasy, żeby stąd prysnąć. - zapadło milczenie. - Jak... jak się zdziwiłem, kiedy zobaczyłem cię w samolocie powrotnym, po twoim miesięcznym pobycie w raju na zachodzie. - Sid kręcił głową. - Pies wojny, jesteś psem wojny. - Sid wstał i mrugnął zadziornie do Dana. - Powiem im, że się zgodziłeś co do zadania i może wyślę ci pocztówkę jak już będę na zachodzie.

Dan siedział w milczeniu, przyglądając się zmiętej kartce, na której widniał adres. Zamknął oczy.

- Coś do jedzenia szefie. - krzyknął w stronę kucharza, który właśnie wszedł do stołówki.

Kapitan Fayd stał w szatni i uderzał o drzwi metalowej szafki.

- Jasna cholera, kurwa mać. - cedził między kolejnymi uderzeniami.

- Co jest? - Kirk Montes stał za nim, ubawiony widocznie samym przyglądaniem się.

Fayd usiadł jakby troszkę zrezygnowany na ławce, przeszył Kirka błędnym spojrzeniem.

- Co jest? Zaraz ci kurwa powiem co jest. Znów ten pojebany Dan Rester. Dzisiaj znowu szalał, zabił czterech wojskowych i podobno Hallona oddał w ręce partyzantów.

- Hallon dał się złapać? - zapytał z niedowierzaniem Kirk, siadając obok swojego kolegi.

- Taa, dowództwo chce żeby go złapać. Jak ja go mogę złapać? Pojawia się znikąd, robi babrownik, a potem znika - uderzył jeszcze raz o drzwi szafki.

- Służyłeś z nim, prawda?

- Tak - pokiwał głową Fayd. - Myślałem, że go znam. A on pewnego dnia, podczas defilady wyszedł z szeregu, podszedł do trybun, gdzie siedziały te wszystkie szczy i zabił dwóch dowódców, a potem... potem uciekł. Czary, kurwa, mary.

- Miał szczęście - skwitował Kirk.

- On ma, kurwa, zawsze szczęście. Ale złapię go, stary, złapię i, kurwa, ukatrupię.

- Wierzę Jim, wierzę. No, ale wracam do domciu. - wstał i zaczął przebierać się w cywilne ubranie.

- Kirk, olać żonę. - Fayd wyciągnął butelkę wódki z szafki. - Napij się.

Kirk Montes uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Taa, olać ją. - usiadł z powrotem obok Jima.

Młoda kobieta siedziała, jakby w odrętwieniu. Wpatrując się ślepo w jakiś bliżej nieokreślony punkt, rozmyślała. Całe mieszkanie tonęło w ciemności i ciszy. Co jakiś czas kobieta mrużyła oczy. Nagły hałas wyrwał ją z odrętwienia. Zapaliła lampę i omiotła wzrokiem pokój. Podeszła do kołyski. Dziecko spało jak zabite. Pogłaskała je po główce i uśmiechnęła się. To dziecko było jedyną rzeczą, która trzymała ją jeszcze przy życiu. Czasami przeklinała je za to, czasami dziękowała za nie niebiosom, ale ponad wszystko kochała, prawdziwą matczyną miłością. Dopiero po chwili przypomniała sobie o hałasie, który wyrwał ją z tego półsnu. Podeszła do okna. Padał ulewny deszcz. Ubrała kurtkę przeciwdeszczową, złapał kij bejsbolowy i wyszła na zewnątrz, chcąc sprawdzić co spowodowało ten niepokojący hałas. Znalazła się na podwórku, przed domem. Rozejrzała się i klnąc pod nosem wróciła do domu. Kiedy stanęła w drzwiach, jej serce zamarło. Jakiś mężczyzna w skórze, stał w pokoju trzymając maleństwo i patrząc prosto na nią. Dziecko nie płakało, co mogło oznaczać tylko jedno.

- Zabiłeś je, zabiłeś! - rzuciła się na niego podnosząc kij.

Zdażył położyć dziecko do kołyski i wyciągając strzelbę ukrytą do tej pory za plecami, zablokował uderzenie. Wytrącił jej kij. Kobieta przewróciła się, a dziecko zaczęło płakać.

- Kiedy tu wszedłem, dziecko zaczęło płakać, więc wziąłem je na ręce. To pierwszy raz, nigdy wcześniej nie trzymałem niemowlaka na rękach. - podchodził celując do niej. - Fajne uczucie.

- Czego chcesz? - zapytała łamiącym się głosem, wciąż leżąc na ziemi.

- Współpracy. - odpowiedział uśmiechając się szeroko.

Złapał ją za włosy i pociągnął w kierunku krzesła. Skuł jej ręce kajdankami.

- Nie zrobię ci krzywdy, spokojnie. - usiadł na fotelu.

- Po co tu przyszedłeś? - z trudem zdobyła się by zadać pytanie.

- Zobaczysz. Ale ani twojemu dziecku, ani tobie krzywdy nie zrobię.

- Chodzi o mojego męża? - zapytała, jakby z nadzieją w głosie.

- Zgadłaś słonko. Dokładnie... o twojego męża.

- To ma być prezent? - zapytała uśmiechając się pierwszy raz tego wieczoru.

- Prezent? - zapytał zaskoczony Dan, był całkowicie zbity z tropu.

- Nieważne. - ucieła kobieta, ale uśmiech nie schodził z jej twarzy.

- Tak, nieważne - Dan zamknął na chwilę oczy, próbując się zrelaksować.

Otworzył je i spojrzał na kobietę, mógłby przysiąc, że gdzieś ją wcześniej widział. Miała piękne, blond włosy, gładką, okrągłą twarz. Patrzył uważnie, próbując dojść do tego, gdzie wcześniej ją widział. Nagle rozmyślenia przerwał mu narastający warkot silnika samochodowego. Dan zerwał się na nogi i przeładował strzelbę. Wyciągnął z plecaka kawałek taśmy klejącej, chcąc zabezpieczyć się przed ostrzegawczym krzykiem kobiety, ale kiedy podszedł bliżej, spojrzała mu w oczy.

- Nie trzeba. - było coś w tych słowach, coś tak nieuchwytnego, tak prawdziwego, że nie zakleił jej ust. Zrozumiał ten uśmiech. Pragnęła śmierci swego męża.

Po chwili stał już przy drzwiach wyjściowych, czekając na ofiarę.

Kirk Montes podziękował Dillerowi młodemu żołnierzowi, za podwiezienie i wytoczył się z Jeepa.

- Na pewno nie potrzeba panu pomóc? - zaofiarował się jeszcze chłopak siedząc z kierownicą.

- Nie chłopcze, wracaj do jednostki. - machnął ręką Montes.

Chłopak zawrócił i wyjechał główną bramą. Montes natomiast oceniał odległość od drzwi wejściowych i porównywał ją ze swoimi możliwościami. Nie wypił tyle, żeby nie wiedzieć już gdzie jest, ale dostatecznie tyle, że szerokość i wysokość otoczenia zmieniały się płynnie. Deszcz ciął niemiłosiernie i Montes klnąc pod nosem posuwał się powoli naprzód. Kiedy był już przy ganku, poślizgnął się i upadł na plecy. Był wściekły. Ze zdecydowaniem godnym tylko pijanego dopadł do drzwi. Nacisnął dzwonek. Słyszał jak przez mgłę. Niestety nikt nie otwierał.

- Vera! - krzyknął wściekle.

Nikt nie odpowiedział. Wymacał klucze i wyciągnął je prawie rozrywając kieszeń. Drugą ręką przetarł twarz, próbując trafić do dziurki od klucza. Zagrzało dokładnie kiedy klucz znalazł się w zamku. Kirk obrócił się i widząc tylko rozmazany czarny krajobraz, wrócił do mocowania się z zamkiem. Przekręcił klucz i naciskając klamkę krzyknął.

- Vera? Gdzie jesteś suko? - drzwi otworzyły się powoli.

Kolejna błyskawica jakby popchnęła go do środka. Usłyszał świst zamykanych drzwi i drugi świst gdzieś za plecami. Nie czuł bólu, widział tylko podłogę zbliżającą się w jego kierunku z coraz większą prędkością. Upadł na brzuch. Potężne kopnięcie obróciło go na plecy. Spojrzał na górującą nad nim sylwetkę. Najpierw ostrości nabrała strzelba wycelowana prosto w jego twarz, dopiero później postać.

- Rester, Dan Rester. - wybełkotał. Głowa którą podniósł, chcąc lepiej zobaczyć napastnika, opadła bezwładnie.

Choć zalany w trupa, wiedział, że nie ma szans. Jeśli nawet zdążyłby wyciągnąć pistolet z kabury, to i tak wycelowanie mogłoby ograniczyć tylko z cudem. Rozglądnięty się po przedpokoju. Zobaczył żonę przykutą do krzesła. Jego wzrok zatrzymał się na spuście olbrzymiej czarnej strzelby. Zamknął oczy. Nagle rozległ się krzyk kobiety.

- Daj mi go zabić! - szarpała się na krześle.- Błagam, daj mi go zabić!

Dan opuścił strzelbę i spojrzał na żonę tego ścierwa. Rozbroił szybko ofiarę i zdenerwowany ruszył do pokoju.

- Trzeba cię było zakneblować - złapał taśmę klejącą zawieszoną na klamce.

- Błagam, daj mi zabić tą gnidę! Zrób to dla mnie! Błagam! - wiła się na krześle.

Stanął przed nią i przekrzywając głowę zmierzył ją wzrokiem. Ten ból i wściekłość w jej oczach. Tyle razy widział go w śnie. To była ona, kobieta z jego snu, która zamieniała otaczających go ludzi w żywe pochodnie. Zamknął oczy, przypominając sobie, że przecież te pochodnie pod koniec snu, skupiają się na nim. Zaklął pod nosem, ale wiedział, że nie potrafi jej odmówić, nie kobiecie ze snu. Obszedł krzesło i rozkuł jej ręce. Powoli uniosła się na nogi. Spojrzała na niego.

- Vera? Masz na imię Vera? - zapytał niepewnie.

- Tak. - odpowiedziała dziwnie spokojna, odchyliła kosmyk włosów ukazując mu obcięte prawe ucho. - Wiele lat z nim. Wiele dowodów miłości.

- Proszę. - wręczył jej strzelbę.

Oboje byli jakby w transie. Nie spodziewała się, że dzisiaj będzie mogła zrobić to o czym tyle lat marzyła, a on jeszcze nigdy tak nie zaryzykował dając komuś swoją broń. Vera zamknęła oczy. Jej twarz była twarzą bestii. Posłała mu zimny i okrutny uśmiech. Ruszyła do przedpokoju. Jej ofiara leżała tam, czekając na nieuniknione. Widział ją, jak stała nad nim celując powoli. Dostrzegł tą samą nienawiść jaka go ogarniała, kiedy wracał do domu po ciężkim dniu. Tą nienawiść, którą kiedyś wyładowywał na żonie, na kobiecie, która stała teraz nad nim, oddychając powoli i głęboko. I nagle ta nienawiść wybuchła gdzieś w środku kobiety. Obróciła strzelbę i biorąc ogromny zamach, uderzyła kolbą w twarz leżącego na ziemi.

Nie zamknął oczu. Wciąż wpatrywał się z jakimś spokojem w kobietę, która była jego żoną. Kobieta zaczęła uderzać coraz szybciej i mocniej.. Dan powoli podszedł do niej czekając na coś. Do jej oczu powoli napływały łzy. Zwolniła uścisk i strzelba wypadła jej z rąk. Na to właśnie czekał Dan. Złapał spadającą strzelbę i stanął blisko kobiety. Przytulił ją do siebie. Nie broniła się.

- To już koniec, już koniec... - powtarzał, głaszcząc ją po włosach.

- Vera, przepraszam. - głos zaskoczył ich oboje.

Dan wypalił szybko w kierunku leżącego. Dopiero wtedy dziecko, które podczas tych wszystkich okropieństw leżało spokojnie w kołysce, rozplakało się.

- W porządku. - powiedziała uwalniając się z jego uścisku.

Podeszła do kołyski i uśmiechnęła się do dziecka. Te widząc matkę, od razu się uspokoiło. Vera chciała jej wziąć na ręce, ale zdając sobie sprawę, że po łokcie jest ubabrana we krwi zrezygnowała. Odwróciła się. Dan zakładał skórzaną kurtkę. Wyciągnął rękę po strzelbę, którą położył tuż obok i zaskoczony stwierdził, że nie ma jej tam gdzie była jeszcze przed chwilą. Vera stała przed nim mierzając do niego. Przez moment wahała się czy nacisnąć spust.

- Aleś to sobie wykombinowała! - krzyknął z uznaniem poirytowany Dan. - Zabijesz mnie, a potem zeznasz, że to ja zabiłem twojego sadystę, a ty się bronisz, prawda? Genialny plan. - kobiecie coraz bardziej drżały ręce. - No zabij mnie! Zabij! - podpuszczał ją Dan.

- Nie mogę. - rzuciła strzelbę najemnikowi, ten złapał ją w locie. - Nie mogłabym zabić człowieka z mojego snu. - dodała i jakby zawstydzona odwróciła się w kierunku kołyski.

- Ze snu? - wydukał Dan, całkowicie zaskoczony podszedł do kobiety.

- Wynoś się! Wynoś! - krzyknęła, patrząc mu prawie z nienawiścią w twarz.

- Ale jeśli tu zostaniesz, oskarżę cię o zabicie męża. Zabiją cię.

- Odjedź! - krzyknęła.

Po dłuższej chwili zorientowała się, że najemnika już nie ma. Siedział już na swoim motorze uciekając i chyba pierwszy raz w życiu płakał, powtarzając "We śnie, we śnie, we śnie...."

- Niezły syf Sir! - kierowca spojrział na kapitana Fayda, ale widząc, że jego uwagi są nie na miejscu, od razu znów zwrócił swój wzrok na drogę.

- Kto to zgłosił?

- Szeregowy Diller. Rano miał przyjechać po Montesa i zastał to co zastał.

- Diller, nie znam. - Fayd oparł się i przetarł przepitą twarz.

- To młody chłopak, służy dopiero od tygodnia. - wyjaśnił usłużnie kierowca, kiedy wjeżdżali przed dom Montesa.

- Słuchaj półgłówku, to że nie znam jakiegoś gówna wartego gnoja, to nie znaczy, że chcę coś o nim wiedzieć.

- Wczorajem odwoził także Montesa do domu. - dodał szybko kierowca.

- A to co innego. - zatrzymali się.

Fayd założył ciemne okulary i wysiadł z wojskowego jeepa. Po podwórku snuło się paru żołnierzy, widocznie wysłanych już z dochodzeniówki. Fayd, wchodząc do domu, zauważył młodego żołnierza, wymiotującego obok ganku.

- Ty pewnie jest Diller?

Ten podniósł powoli głowę, mierzając Fayda wzrokiem.

- Salutuje się kurwo, kiedy starszy stopniem przechodzi! - krzyknął na przestraszonego chłopaka.

Diller zsalutował pośpiesznie, jednak nie zdążył przed tym wytrzeć ust i rzygi spłynęły mu po brodzie.

- Kurwa. - powiedział jakby sam do siebie Fayd i kręcąc głową wszedł do środka.

W środku panował zimny chłód, pełno ludzi kręciło się po wnętrzu, ściągając odciski palców i robiąc zdjęcia. Fayd zauważył zmasakrowane zwłoki leżące przed sobą i dopiero po chwili doszło do niego, że to co tam leży, piło z nim wczorajszej nocy wódkę.

- Chyba jednak czuje się lepiej od ciebie stary. - powiedział patrząc wciąż na zwłoki.

- Kapitanie Fayd! - krzyknął nagle ktoś tuż obok niego.

Ten odwrócił się powoli.

- Musicie tak wrzeszczeć żołnierzu? - zapytał grzebiąc palcem w uchu.

- Mówiono mi, że pan przyjedzie. Mam rozkaz odpowiedzieć na wszystkie pana pytania!

- Kurwa, najpierw wasz stopień, nazwisko, kompania.

- Szeregowy Kurt Ween, IV pułk piechoty, przeniesiony tymczasowo do MSW!

- Teraz zacznijcie mi żołnierzu tłumaczyć co już ustalono. - widząc, że żołnierz ma zamiar odpowiadać

z szybkością karabinu maszynowego, podniósł palec i dodał. - Tylko powoli i na miłość boską, nie krzyczcie tak.

- Szeregowy Diller przyjechał o szóstej rano i zastał pułkownika w takim właśnie stanie. - Ween wskazał na leżące obok zwłoki. - Żona, razem z dzieckiem znajdowała się w pokoju gościnnym. - wskazał na otwarte drzwi po prawej stronie.

Fayd zwrócił tam swój wzrok i ujrzał siedzącą za stołem kobietę, była wyraźnie nieobecna i jedyne co mogło świadczyć o tym, że jeszcze żyje to głaskanie główki dziecka, które trzymała w rękach.

- W szoku? - zapytał Fayd.

- Tak, nie odezwała do nikogo, ani nie na nic reaguje, ale poza tym nic jej nie jest.

- Więc co ustaliliście? - zapytał już powoli znużony całą tą sytuacją Fayd, marzył tylko, aby choć przez chwilę się zdrzemnąć.

- Na pierwszy rzut oka, wygląda na to, że to zrobiła kobieta, ale w domu nie ma nic takiego czym można by tak zmasakrować ciało, a po drugie przyszła wiadomość około siódmej do bazy.

- Wiadomość?

- Tak, coś w stylu, z pozdrowieniami skurwysyny, oczywiście adresem byli partyzanci. Wygląda więc na to, że pułkownik Montes został zabity na oczach żony, nic więc dziwnego, że jest w takim stanie. Na pewno sporo minie zanim uda się coś wyciągnąć z tej biednej kobiety. To chyba wszystko. - zamyślił się Ween. - Aha, jeszcze jedno, za domem znaleziono ślady motoru.

- Motoru? Szerokie koła? - zapytał Fayd ożywiając się.

- Tak.

- No to wszystko szeregowy. Macie przygotować raport i skupcie się na tych śladach po motorze, za godzinę raport ma być gotowy i czekać na mnie w jednostce.

- Tak jest! - zsalutował Ween.

- Spadajcie. - machnął ręką Fayd i ten zszedł mu z oczu.

Vera nie odezwała się do nikogo, ani słowem. Nie chciała im dać wskazówki co do najemnika, ale także bała się być posądzona o tą zbrodnię. Postanowiła więc udawać szok i udawało jej się to nienajgorzej. Może po części, dlatego że naprawdę była w lekkim szoku. Czuła, że wreszcie wróciła, gdzieś głęboko w niej rodziło się szczęście i świadomość, że życie może jeszcze się dobrze potoczyć, że ma jeszcze szansę. Dostrzegając jak wszedł do pokoju i spojrzał jej w oczy. Masywny żołnierz był bardzo podobny do Rester, zbyt podobny. Krzyknął, żeby się wszyscy wynosili do diabła. Krzyk, który dudnił jeszcze w jej głowie na długo po rozmowie, którą była zmuszona przeprowadzić z kapitanem Jimem Fayd.

- A od ciebie dziwko chcę się dowiedzieć parę rzeczy. - trzasnął drzwiami. Zostali sami.

Dziecko obudziło się i rozplakało. Vera spojrzała na nie i z czułością przytuliła do siebie. Fayd natomiast, zamaszystym ruchem obrócił krzesło poręczą do stolika i usiadł na nim okrakiem, patrząc beczelnie na kobietę,

- Teraz mi grzecznie opisziesz tego najemnika, dokładnie opisziesz, rozumiemy się?

Kobieta spuściła głowę, nie odpowiadając. Fayd pozwolił ciszy chwilę trwać, po czym uderzając w stół wstał i wyrwał kobiecie dzieciaka. Złapał go za ubranko i podniósł wysoko.

- Wiem o paru rzeczach ty suko. Pragnęłaś śmierci Kirka i było ci to na rękę. Wiem też, że to co trzymam w ręce... - uśmiechnął się potrząsając płaczącym bobasem. - To nie jest dziecko Montesa. - patrzyła się na niego w milczeniu, ale jej twarz przybierała coraz bardziej przerażony wyraz. - Tak kochanie, piło się z Kirkiem kilka raz, to się wie o paru rzeczach. Wiem, że jesteś w stanie przypomnieć sobie, kto cię naszedł, może nawet jego imię czy przydomek padło ostatniej nocy. Więc teraz daję ci szansę, mów co wiesz, albo ten bękart.., - zrobił wymowną przerwę. - ... upadnie. - uśmiechnął się od ucha do ucha. - Liczę do trzech: raz, dwa...

- Dan Rester! To był Dan Rester! - Vera krzyknęła to w taki sposób, jakby jej słowa były w stanie zabić potwora, który trzymał jej dziecko.

- Na pewno? - zapytał powoli Fayd.

- Kirk, tak nazwał najemnika, gdy go zobaczył. - do jej oczu podeszły łzy, zrozumiała, że zdradziła tego kogoś, który ją uwolnił od męża.

- Kurwa mać! Pierdolony Dan Rester! - krzyczał Fayd, potrząsając niemowlęciem.

Vera obserwowała go przerażona. Nagle Fayd zatrzymał się, gdy zauważył jej minę.

- A, o to się boisz? - zapytał przyglądając się trzymanemu dziecku.

- Błagam, oddaj mi go! - kobieta padła na kolana i łzy znów zalały jej twarz.

- Co do niego, to normalnie bękartów odsyłamy do obozów wychowawczych, ale dla Kirka zrobię coś innego. - rzucił płaczącego niemowlaka na przeciwległą ścianę.

Vera zamknęła oczy, błagając, żeby zdarzył się cud. Wszystkie jej zmysły całkowicie się rozregulowały przez ten krótki moment. Usłyszała puste uderzenie o ścianę i płacz dziecko ustał. Otworzyła oczy i zamknęła je ponownie, słysząc jeszcze śmiech Fayda.

- Kirk marzył o tym o dawna.

Kobieta rzuciła się na niego jak dzikie zwierzę. Fayd uderzył ją w brzuch.

- Głupia baba. Za sześć godzin dom ma być pusty, ty się wynoś.

Fayd poprawił swoje przeciwsłoneczne okulary i wyszedł zamykając za sobą drzwi. Leżała na ziemi, wpatrzona w drzwi, za którymi zniknął ten potwór. Powoli odwróciła wzrok i ujrzała to, co kiedyś było jej słodkim synkiem. Nie była w stanie nawet krzyknąć.

Było późne popołudnie, kiedy opatulona kobieta o twarzy tak starej jak ten świat, klęczała przy świeżo zakopanym niewielkim grobie. Jak na ironię dzień był słoneczny i wesołe promyki słońca przemykały się pomiędzy drzewami, aby ją odnaleźć, aby ją nękać. Miała wrażenie, że to co przecierpiała do tej pory, jest niczym w porównaniu z tym co ma nadejść. Ale tak naprawdę nic już nie było dla niej ważne, jej syn nie żył i nic już tego nie odmieni. Nagle poczuła, jak ktoś kładzie jej rękę na ramieniu. Jak spłoszona mysz, przewróciła się na plecy i wycofywała się w strachu. Postać doskoczyła do niej i przytuliła do siebie.

- Wróciłem. - szepnął jej do ucha i obserwując jej twarz. Twarz tak bardzo postarzałą i zniszczoną, tak bardzo zmarnowaną. Przytulił ją mocniej, szepcząc. - To jeszcze nie koniec Vera, to jeszcze nie koniec.

Wziął ją na ręce i usadowił na motorze. Stał chwilę, patrząc na nią, jakby zafascynowany. Jak bardzo może komuś zależeć na własnym dziecku, żeby jego śmierć kończyła sens dalszego życia. Pogłaskał ją po głowie. Odpowiedziała mu tylko pustym spojrzeniem. Wrócił na miejsce, przy którym klęczała i przyjrzał się grobowi. Niewielka łopata leżała na ziemi. Podniósł ją i spojrzał jeszcze na grób. Z jego oczu znów pociekły łzy. Przypomnił sobie obraz tego malca, jego uśmiech, kiedy matka go tuliła. To ciepło, które wtedy wytwarzało się między matką a dzieckiem, to uczucie, nagle skojarzyło mu się z językami ognia w które zamieniali się ludzie w jego śnie. Chciał krzyknąć z rozpacz, ale jakaś tajemnicza siła pohamowała go przed tym. Rzucił trzymaną łopatą w ziemię, wbijając ją pionowo przed grobem. Wrócił do Very i wsiadł na motor - gdy ruszali wtuliła się w niego.

- Ono nie żyje, zabili moje dziecko. - wydukała łapiąc go oburącz.

- Wiem. - odpowiedział, gdy wyjeżdżali na ulicę.

Hallon wiszący na krzyżu, cały zalany krwią żył jeszcze, choć na pewno wolałby umrzeć, już wiele godzin wcześniej. Ale miał jeszcze w sobie wiele życia i mógł zakosztować wiele bólu. Widownia zmieniała się, a fachowcy minuta po minucie zajmowali się Hallonem. Praktycznie jedyną oznaką życia w tym zmaltretowanym ciele, były oczy. Oczy, które tak hipnotyzowały publiczność. Oczy, które mówiły wszystko, wyrażały jednocześnie nienawiść, upokorzenie, wstyd, żal, złość, ale przede wszystkim niewyobrażalny ból. Dan siedział na sofie pod ścianą obserwując w milczeniu ofiarę. W końcu Hallon z trudem go zauważył i zmuszając się jeszcze do wysiłku, przywołał w swym umęczonym umyśle osobę, która go przyprowadziła na tą rzeźnię. Spojrzał prosto na Dana i ten opuścił głowę, jakby zawstydzony. Pokręcił głową i wyszedł na korytarz. Jeszcze wczoraj wszystko było takie proste. Nigdy nie rozmyślał, bo rozmyślanie niszczyło kogoś takiego jak on. Mógł rozmyślać nad życiem gdy był młodym szczeniakiem, rozmyślać po ucieczce z wojska, ale nie teraz. Przywiózł tu Verę i nie wiedział co dalej. Co zrobić z kobietą, która chce umrzeć. Wiedział, że to co do niej czuje, to coś co inni ludzie zwali miłością, a on nie był pewny, czy coś takiego istnieje, a jeśli nawet istnieje, to on nie będzie jej w stanie odczuć. Kochał kobietę, która pragnęła śmierci. Widział w jej oczach prośbę, prośbę, żeby ją zabić. Niemą prośbę, która pojawiała się za każdym razem, kiedy na nią spojrzał. Stał oparty o ścianę przed drzwiami do pokoju, w którym ulokował Verę, bezbronny jak dziecko. Nagle poczuł coś dziwnego. Jego oczom ukazał się sen, ten sen i zobaczył ją nad sobą, lewitującą. Nie był już w korytarzu, stał w tej dziwnej nicości, a ona uśmiechała się do niego. Rozejrzał się i dostrzegł otaczające go postacie. Kobieta pstryknęła palcami i postacie zapłonęły. Widząc to Dan uśmiechnął się, choć przez taki szmat czasu, kiedy powtarzał się ten sen, był przerażony. Kiedy płomienie ruszyły na niego, rozłożył ręce wznosząc je i pierwszy raz w życiu zaniósł się prawdziwym śmiechem.

- Dan? Dan obudź się! - dziewczyna policzkowała leżącego na ziemi najemnika.

- Trish? - zapytał Dan jakby nie wierząc, że wrócił do rzeczywistości.

- Tak, to ja. Zemdlałeś. Na środku korytarza - powiedziała dziewczyna.

On się tylko uśmiechnął. Świat, który jeszcze przed chwilą był jedną wielką kupą gówna, nagle złożył się znów w jedną całość. Nie rozumiał go, ale wiedział już co ma zrobić.

- Słodka Trish. - rzekł do niej nie tracąc uśmiechu. - Nie poddasz się.
- Nie poddam. - wydukała powoli, nie wiedząc dokładnie o co chodzi Danowi. - Czegoś ty się naćpał?
- Siebie. Trish. Zrozumiałem.
- Ale pieprzysz Dan, co się stało podczas tej ostatniej akcji i co robi ta kobieta w naszej bazie?
- Kocham ją Trish i uratuję jej życie. Bezinteresownie.
- Kochasz ją? - dziewczyna zerwała się z miejsca. - Kochasz ją? - zapytała ponownie jakby nie wierząc w to co usłyszała. - Ty chuju! Mówiłeś, że nikogo nie potrafisz pokochać.
- Myliłem się Trish. - złapał ją za rękę i zdecydowanym szarpnięciem posadził ją z powrotem na taborecie, jednocześnie z jego twarzy znikł uśmiech. - Myliłem się wielu sprawach.
- Do czego zmierzasz? - zapytała ostatkiem sił, czując, że lzy podchodzą jej do oczu.
- Byłem nieszczęśliwy Trish. To zabijanie, to wszystko. Bez sensu. - gubił tok myśli. - Wszystko bez sensu. Ta wojna, która zrobiła ze mnie tego kim jestem, a z ciebie? - zapytał retorycznie. - Wykwalifikowanego kata. - Trish opuściła głowę. - Wiesz o co chodzi Trish? Aby zrobić coś sensownego w tym chaosie, coś co jest ważne, coś co.....co po prostu nie jest ani głupią nienawiścią, ani interesem. Rozumiesz? - zapytał niepewnie Dan.
- Tak, Jezu. - rozpląkała się, zakrywając twarz rękoma. - Rozumiem. - dodała i wstała od stołu, odchodząc bez słowa.

Skrzypnięcie drzwi wyrwało ją ze stanu odrętwienia. Podniosła wzrok i zobaczyła jego, człowieka z jej snów, człowieka który patrzy na nią tymi pełnymi litości oczami i mówi żyj, żyj jeszcze trochę. Śniła o nim od czasu, kiedy mąż zaczął ją bić i tylko dzięki temu snowi potrafiła przetrwać. Dzięki temu i swemu kochanemu dziecku, które teraz leżało przykryte błotem. Wróciła do rzeczywistości w samą porę, żeby powstrzymać się od płaczu. Zmierzyła go wzrokiem, wzrokiem pełnym rezygnacji. Usiadł obok na łóżku. Był dokładnie taki jak we śnie. Stojący daleko od niej, otaczany przez płomień, mówiąc jej żyj, żyj jeszcze trochę. Objęła go, przypominając to sobie. Ten poddał się jej uściskowi i wtulił się w nią, jednocześnie szepcząc jej do ucha.

- Wyjdiesz na zachód, jak najszybciej. Ja wszystko załatwię, wyjedziesz i będziesz miała kochającego męża i wesołą gromadkę dzieci, biegających po ogródku twojego pięknego nowego domu. Obiecuję.

Zwolnili uścisk i spojrzeli sobie w oczy. Dan zaczynał odczuwać to ciepło, które zauważył wtedy między Verą, a jej dzieckiem. Wiedział, że to ciepło oznacza dla niego płomień, ale nie wahał się.

- Kto to był? - zapytał.

Zamknęła oczy.

- Fayd, Jim Fayd, kapitan. Służył z moim mężem w jednej jednostce, byli przyjaciółmi.

- Dlaczego zabił więc dziecko swojego przyjaciela? - zapytał zaskoczony.

- Bo to nie było dziecko Kirka Montensa. To było moje dziecko. - każde wspomnienie o martwym niemowlęciu powodowało u Very dreszcze.

- Żegnaj. - przytulił ją jeszcze, po czym wstał i gdy był już przy drzwiach usłyszał krzyk Very.

- Ale płomień! Odchodzisz w płomień!

- Wiem. - odrzekł i nie odwracając się wyszedł z pokoju.

Na korytarzu stała Trish, oparta o ścianę, obserwowała Dana.

- Zaopiekuj się nią, do czasu wyjazdu. - rzekł i nie czekając na odpowiedź, odszedł.

Czuł płomień, grały coraz mocniej.

Jim Fayd siedział za biurkiem, bawiąc się jakimś medalem. Surowo urządzonej pokój oświetlała tylko nocna lampka. Z radia leżącego na szafce, dobiegała jakaś melodia i można by powiedzieć, że Fayd na swój sposób jej słuchał. Cekał i wiedział, że on na pewno przyjdzie. Przesuwał leniwie wzorkiem po pokoju, próbując na czymś zaczepić wzrok. Miał już ten gabinet trzy lata, a przesiedział w nim raptem kilkanaście godzin.

- Jestem. - usłyszał nagle za sobą cichy lecz zdecydowany głos.

Poczuł zimną stal na swojej szyi.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Może usiądziesz na krześle, zamiast stać za mną, jak jakiś pieprzony pedał. - głos Fayda był opanowany i spokojny.

Rester schował nóż i usiadł po przeciwnej stronie biurka.

- Ściagałem cię trzy lata, przyjaźniłem się przez dwa... Szmata czasu Dan.

- Dlaczego Jimi? Zazdrościsz mi, nienawidzisz mnie? O co chodziło? Dlaczego przysięgłeś sobie, że mnie zabijesz. Nie wahałeś się rzucić niemowlakiem o ścianę, żeby mnie tu ściągnąć.

- Taki był słodki niemowlaczek i buch... - uderzył ręką o rękę. -.. nie ma niemowlaczka.

Dan wyciągnął momentalnie strzelbę nie wstając z krzesła wycelował w Jimia. Ten choć spodziewał się tego ruchu, był zaskoczony szybkością i sprawnością Dana.

- Spokojnie, spokojnie. - Fayd próbował zapanować nad sytuacją. - Uchu! Dalej z ciebie taki kowboj, mistrzu. - spróbował obrócić wszystko w żart.

- Chcę wiedzieć tylko dlaczego Jim? Dlaczego tak bardzo zależy ci na zabiciu mnie. - mówiąc to podniósł strzelbę wyżej.

Jim zirytowany zerwał się z krzesła, ale nie na tyle gwałtownie, by Dan do niego strzelił.

- Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Chcesz wiedzieć naprawdę dlaczego?

- Tak. - Dan pokiwał głową, mając grobową minę.

- Bo chcę być taki jak ty Dan. - ten zaniemówił. - Kiedy byliśmy przyjaciółmi, było w porządku. Ale tobie odbiło, zabiłeś dowódcę podczas tej parady i uciekłeś. A ja zostałem dwa kroki w tyle. Zostawiłeś mnie w tym cholernym wojsku. Postanowiłem cię gonić i do tego doszło, że rzucam niemowlakami po ścianach. - podszedł do niego i kucnął przystawiając sobie wycelowaną strzelbę do głowy. - Nienawidzę cię za to, że jesteś tym czym ja chciałem być. Szczęściarzem, człowiekiem, którego nikt nie potrafił załatwić. Nienawidzę cię za to najemniku.

Dan nagle roześmiał się, roześmiał się tak, że zbił Jima z tropu..

- Od czasu kiedy się tym zajmuję, cały czas powtarzam sobie, że nie jestem najemnikiem.

- A czym jesteś? - Fayd zapytał robiąc głupią minę.

- Płomieniem! - krzyknął i wypalił Jimowi w łeb. Przez ten krótki moment był nim, był żywym ogniem. Zamknął oczy, czując, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Wstał i rozglądając się po pokoju, zatrzymał wzrok na dużej szafie stojącej przy drzwiach. Podszedł do niej wolnym krokiem i zamasztywym ruchem otworzył ją. Stał w niej trzęsąc się ze strachu szeregowy Diller.

- Nic nie mów. - położył mu palec na ustach. - Wiem, Fayd zamknął cię tu, żebyś mnie zabił, kiedy da znak, ale nie dał znaku, prawda? - zadał pytanie, jakby pytając sam siebie.

- Ta-t-taak. - wydukał chłopak, w opuszczonej ręce trzymał pistolet.

Dan wziął go za tą rękę i przyłożył sobie jego broń do skroni.

- Pozwól mi płonać. - rzekł nie tracąc uśmiechu.

- Ale ja...

Dan uderzył chłopaka otwartą ręką w twarz.

- Żadnych ale, rób co do ciebie należy. Dostaniesz medal, będziesz bohaterem.

W chłopaku nagle się coś przełamało, miał już tego dość, dość wszystkiego. Strzelił. Ciało Dana osunęło się na podłogę. Chłopak jednak dalej strzelał, krzycząc:

- Pierdołę was pojebańcy! Pierdołę! - strzelał, aż zabrakło mu naboji.

W chwilę później zwymiotował na podłogę.

Trish stała w sali tortur obserwując ciało Hallona. Spał. Na noc tortury były przerywane, by wznowić je zaraz po wschodzie słońca. Powoli zbliżała się do ofiary, a jej kroki odbijały się głuchym echem po tej ogromnej białej sali. Stanęła przed nim i dotknęła zmaltretowanej twarzy ofiary. Zamknęła oczy i poczuła ciepło.

- Rozumiem Dan, rozumiem. - mamrocząc wyciągała obcęgami gwoździe z rąk Hallona.

Upadł na podłogę. Uklękła obok. Hallon otworzył oczy. Nagle zrozumiał dlaczego leży na ziemi i dlaczego kobieta, która go katowała stoi teraz nad nim. Popatrzył się na nią z wdzięcznością. Te oczy... patrzyła w nie, kiedy otwierała klatkę piersiową i wyciągała serce. Rozpłakała się.

- Rozumiem. - dodała, zamykając oczy martwemu ciału.

* * *

Dwóch zadbanych chłopców biegało w ogrodzie, trzymając w rękach drewniane pistolety. Jeden gonił drugiego imitując strzały.

- Bang! Bang! - krzyczał. - Zabiłem cię! Zabiłem.

- Wcale nie. - zaprzeczał blondyn uciekając co sił w nogach. Nie zauważył wystającego z ziemi korzenia i przewrócił się.

Brunet skoczył na niego, przygważdżając do ziemi.

- Nie żyjesz! Nie żyjesz! - krzyczał.

Chłopcy śmiali się głośno. Na werandzie siedziała ich matka Weronika Smith, uśmiechnięta obserwowała zachód słońca. Nie pamiętała już wojny, nienawiści, brutalności, nie pamiętała Dana, ani nie pamiętała jak zabiła swojego męża. A co najważniejsze wyrzuciła z pamięci dziecko, które tak bardzo kochała. Nie mogła o tym wszystkim pamiętać. Miała męża, któremu urodziła dwóch silnych chłopców, miała pieniądze i miała szczęście. Nie mogła pamiętać, nie chciała. Tylko czasami, coraz rzadziej, śniło jej się ognisko. Samo ognisko pośrodku niczego i stopniowo w miarę wpatrywania się w ogień, krajobraz wokół zaczynał się tworzyć. Powoli powstawała piękna kraina, która urzekała spokojem. Wszystko w śnie brało swój początek z ognia. Nie rozumiała snu. Właściwie... wcale nie chciała zrozumieć.

Wiele, wiele lat temu ta sama kobieta wyszła z domu. Chciała zdradzić męża. Upiła się i przespała się z kimś kogo nie pamiętała już na drugi dzień. On chyba też jej nie pamiętał - też był pijany. Ale od tego czasu zaczęły nadochodzić ich podobne sny.